

durów, dobrze umieścić pieniądze, dostać koni w Jedlinie za każdą cenę i jechać na kolej.

— Dobrze, tylko odetchnę.

— Niema czasu... za chwilę może będzie za późno — wstał, rozbierał się z palta i zrzucił mundur.

Za jego przykładem poszedł Młot, a gdy oba mundury leżały na ziemi, zabrał je Marceli i wyszukawszy wykrota rzucił je przysypawszy ziemią i liśmi.

Ruszyli krajem lasu nad drogą i wkrótce ujrzeli wieś obszerą, leżącą w kotlinie.

— Nie wchodźmy do wsi drogą, mogą być strażnicy, obejdźmy po pod ogródy — doradzał Młot.

— Za wsią nie znajdę koni, a kiedyś się zdał na moją komendę, to słuchaj — powiedział Marceli rozdrażnionym głosem.

Zaledwie minęli pierwsze chaty i dochodzili do Męki Pańskiej, gdy z bocznej uliczki wyszedł na główną drogę gospodarz leciwy z wygoloną twarzą i jał bardzo bacznie przyglądać się dwóm podróżnym, którzy zdjawszy czapki przed figurą, zwolna zbliżyli się ku niemu.

— Niech będzie pochwalony! — zaczął Marceli.

— Na wieki wieków... a skąd to Pan Bóg prowadzi?

— Zdaleka, bo aż za Jabłonką, wielceśmy też zdrożeni, bo o konie trudno.

— Nie dziwota, czas roboczy... a gdzie podażacie?

— Za robotą do Łap... nie moglibyśmy tu dostać koni, bo nam spieszo.

Chłop nśmiechnął się, jeszcze raz bacznie przyjrzał się im i po chwili rzekł:

— Nie dziwny mi wasz pośpiech... ale roboty nie dostaniecie chyba, bo i ubranie pocięte i plany jakoweś... coś ni... brego było z wami.

Sp... eli obaj po sobie. Twarze mieli za... nięte brudne, zapyłone; ubranie powalone, splekane na ramieniu i plecach od uderzenia nahajką a na paltocie Młota widać było zaschnięte plamy krwi.

Marceli z natury był szczerzy i ufający, spojrzawszy więc w dobre oczy chłopca, postanowił zwierzyć mu się z konieczności ucieczki i zaczął:

— Prawdę mówicie ojczu, mieliśmy przypadek, ale stało się i ziemia pali się pod naszymi nogami.

— Hm... przykładni z was katolicy, widziałem... chybaście dobrzy ludzie.

— Szliśmy spokojnie drogą i napał na nas kozak, zaczął smagać nahajem, poniewierając, że nie wytrzymanie ludzkie...

— I przebrała się miara cierpliwości...

— Zginął!? — zapytał chłop z ciekawionym.

— Tak się i stało.

— Aha, teraz rozumiem, że wam pilno — skinął głową — trzeba wam uciekać, bo wisieć będziecie... hm, może się co poradzi — myślał przez chwilę.

— Pójdziecie na wieś i potem na lewo miedziami, a dziewięć obejście to moje, będę tam... ostrożnie, bo strażnik we wsi, pije w karczmie, ale zawsze i on ma oczy.

Ledwie skończył, gdy zbliżyło się troje ludzi, dwie kobiety i stary chłop, zaciekawieni przybyszami. Gospodarz zaczął więc głośno:

— Nie tedy wam droga do Półkowic, wróćcie do lasu i tam na prawo... z Bogiem!

— Panu Bogu zostawuję — skłonili się i wrócili tą samą drogą, skąd przyszli.

Gdy odeszli kawałek drogą szepnął Młot z miłą wątpliwą:

— Okrutnieś śmiały, zwierzyłeś się... a jeśli zdradzi?

— Nasz... Łomżyński? Może gdzieś indziej pod miastem, ale nie u nas.

— Jesteś zadufany... czas na śmierć zawsze będzie.

— Ja chcę żyć — mruknął Marceli.

Szli miedzą a obawa towarzyszyła im, bo byli w szczerem polu, na oczach wszystkich z drogi, gdyż dopiero koniec wsi zagłębiał się w las.

Naliczyli dziewięć obejście i gdy z pewnem wahaniem rozglądali się, ujrzeli gospodarza, dającego im znaki, aby się zbliżyli.

— Zrzućcie wierzchnie ubrania — mówił otwierając stodołę — i umyćcie się po ludzku — wskazał na wodopój przy studni — stojącej między budynkami gospodarskimi.

Zaprowadził ich następnie do świetlicy i przez otwarte drzwi do izby po drugiej stronie sieni zawołał:

— Basiu! daj nam coniebaż przegryźć, bo są majstry do wiatraku.

— Zaraz tatusiu.

Gdy zasiedli spytał gospodarz:

— Cóżście robili za Jabłonką?

Młot był już przygotowany na odpowiedź.

— Montowaliśmy gorzelnię i wracamy do domu, do Białegostoka.

— Dażście zarobili?

— Za dwa tygodnie mamy we dwóch pięćdziesiąt rubli.

— Ładny grosz — mruknął.



Kozak odwrócił głowę i z rozmachem podniósł nahaj...

Weszła ładna, młoda dziewczyna, obrzuciła gości ciekawie piwnymi oczyma, a spotkawszy wzrok Marcela zarumieniła się lekko i spuściła oczy, ustawiając na stole barszcz, ziemniaki okraszone słoniną i bochenek chleba.

Obaj byli zgłodniałymi, to też długo nie dali się prosić i gorliwie wzięli się do jedzenia.

Gdy zaspokoili pierwszy głód, zwrócił się Marceli do gospodarza:

— Panu Bogu dzięki i wam, posililiśmy się... a teraz w drogę. Nie pożalujcie grosza, byle dostać się na kolej.

Gospodarz spojrzął na jednego i drugiego i po chwili szepem spytał:

— Gdzie on leży?

— Za lasem przy wzgórkach.

— Chwała Tobie Panie, że nie na naszych gruntach, wieś by przetrzęśli, po sądach wodzili, kontrybucją by karali...

— No, a konie? — naglił Marceli.

— Cóżście tak gorąco kapani! — zaśmiał się gospodarz — konie dać lekko, a i tak was pochwycą, bo pewno kozacy kupą szli na obławę. Tu trzeba kalkulować, abyście uszli cało... Widział was kto?

— Pewno pastuchy albo oracze widzieli, jakęśmy szli.

— To pod batami powiedzą, niechybnie... hm... chyba jako chłopci pójdziecie... nie może być inaczej.

Bardzo mądrą wydała im się ta rada i przyjęli z wdzięcznością. Ułożyli się co do ceny sukman, kapeluszy, pasów i chociaż przepłacili, nie zmniejszyło to ich zadowolenia, bo nadzieja wyzwolenia się z opatów stawała się bliższą.

Idąc za radą gospodarza ogolili wąsy, przebrali się w sukmany, pozrzucając krawatki i już dobrej myśli, jeśli prosić gospodarza, aby posłał po piwo.

— Pójdę sam... może coniebaż zasłyszę w karczmie.

Nie minęło kilkanaście minut, gdy wrócił się gospodarz i zamknawszy drzwi za sobą opowiadał:

— Dali znać strażnikowi, że leży zabity na drodze, wziął sołtysa i pojechali po nieboszczyka. Chodźmy bo nas zaskoczą.

Pomiędzy opłotki, drożynami, przez obejścia i podwórza dostali się prawie na sam koniec wsi.

— Tu mieszka brat mojej żony Tomasz — wskazał na pożądaną chatę — ten wam pomoże rzetelnie.

Tomasz, niski barczysty chłop, około lat czterdziestu z lekkim zdumieniem przyjrzał się gościom i swemu szwagrowi.

— Ci dwaj Tomaszu chcieliby się dostać na stację kolei, zasłi do mnie a że konie wysłałem, przyprowadziłem ich do ciebie.

— A nie miałeś bliższych sąsiadów? — uśmiechnął się — dopiero do mnie idziesz?

— Jest racja — dał znak porozumiewawczy.

Tomasz zaprosił ich tedy do chaty, a gdy drzwi zamknął dodał cicho:

— Wiedz tedy, że utłukli kozaka... strażnik ze sołtysiem już pojechali po niego.

— Aha, to tak — patrzył bacznie po gościach — ale cóż ja pocznę z wami?

— Wy poradzicie sobie bezemnie — rzekł gospodarz wstając — a w chacie trzeba porządek zrobić, bo to i owo zostało po was... Dajże wam Panie Boże szczęśliwie — podając rękę do nscisku.

— Daj Panie Boże, a wam gospodarzu niech Pan Bóg nagrodzi za waszą uczynność?

Tomasz jał szczegółowo rozpytywać kiedy, gdzie i jak zabili kozaka, wreszcie, zwrócił się do Marcela:

— Pytaliście o drogę i dokąd?

— Do Sokołowa i Łap i chyba tam pojedziemy bo to większa stacja, ludzi dużo...

— Ani myślcie o tem — mówił, a po zachmurzonem czole było widać, że waży coś w sobie — strażnicy mogą rozpytać się ludzi...

Fajka mu zgasała, poszedł do drugiej izby, aby żarzący węgiel nałożyć i wrócił po chwili.

— Niema co, trzeba wam się przebrać do Wnor, mój chłopak was od-

wiezie.

Zaledwie skończył te słowa, zerwał się ze stołka i szepnął przybladły:

— Strażnik idzie... skryjcie się w komorze — a sam szybko opuścił izbę.

Młot i Marceli skoczyli ku komorze, była jednak zamknięta, więc wcisnęli się w kąt izby za rozwieszoną na grzędzie odzież.

Po chwili wszedł strażnik z Tomaszem, który wniósł fiaszkę wódki z kieliszkiem i przypił do strażnika, prosząc, aby nie pogardził trunkiem. Ten rozparł się wygodnie na krześle, bokiem ku ukrytym towarzyszom a pijąc wódkę i zagryzając chlebem, mówił:

— Znajesz, z czem ja przyszedłem... ot u was, zdzieś, jest buntowszczyki, ubili kozaka, ponimajesz?

— Coś nie coś rozumiem.

— A ty wsio po polskie, ach proklaty narod... — wypił kieliszek, splunął — ot przyszedł k'nam przykaz łowit' etych sukin synów, rozbojników, socyalistów... nn, jak przykaz, tak przykaz, szczoż dzieła? — i znów popił.

Ciąg dalszy nastąpi.